

## **Strażnicy Nirgali**

### **Serce Suriela**

#### Prolog

Połykacze ognia. Kuglarze. Żonglerzy.

Angaros Mikail Argyll nie mógł oderwać oczu od pstrokatego ulicznego korowodu. Jak to możliwe, że beztriosko tańczą, kiedy wszystko się rozpada? Skrzywił się, rozgoryczony niesprawiedliwym losem.

Akrobaci. Baletnice. Woltyżerzy. Gapie z bezmyślnie rozdziawionymi ustami. Rozchichotany tłum. Hałaśliwa muzyka.

Nie widzieli go. Potrącali, bo nie mieli pojęcia, że przy nich stoi, choć kryształ ukryty na anielskiej szyi lśnił łagodnym fioletowym blaskiem.

„To już nie potrwa długo. Dzień, może dwa”.

Zadrzał. Wciąż te ponure obrazy. Uwięziony ojciec. Matka i siostra przepadły bez śladu. On sam jak wygnaniec.

„Więc czemu tak wirują w tańcu...?”.

#### Rozdział I

Bree Whelan z całej siły rozpychała się łokciami, szczerze rozdzielając kuksańce. Za nią z determinacją przeciskała się Pat Herton.

– Kurczę, to chyba nie był dobry pomysł – wysapała Pat. – Nie dość, że piekielny upał, to jeszcze taki tu tłok. Wszyscy idą do Nirgali?! – parsknęła niezadowolona, obrzucając niechętnym spojrzeniem mijającą ją ciżbę. – Oby nie, bo nie dopchamy się do żadnej wróżki.

Dopiero w południe dotarły do mostu. Zatrzymały się na poboczu piaszczystej drogi, z dala od ludzi zmierzających na nadbrzeże. Bree otarła pot z czoła, a czarne włosy krótkiej postrzępionej fryzurki przylepiły się do skroni. Pat odgarnęła jasną grzywkę.

– Wyglądamy jak półtora nieszczęścia – zażartowała, ale wcale nie było jej do śmiechu.

Przed nimi strzelisty łuk łączył brzegi rzeki Rondane. Na południowym leżała Gadera, metropolia zamieszкана przez niemagicznych, takich jak one. Północny ginał we mgle unoszącej się nad wodą. Mleczne opary skutecznie zasłaniały Nirgalę, miasto aniołów, więc Pat wypatrywała choćby jej zarysów.

– Nic nie widzę – szepnęła w końcu rozczarowana.

– Pewnie musimy przejść przez most – rezolutnie wyjaśniła Bree i sięgnęła do kieszonki zamszowego plecaka.

Z triumfalną miną wyjęła podłużny kryształ o delikatnie liliowym zabarwieniu. Wyglądał jak zwykły ametyst. Pat pochyliła się nad nim zaintrygowana.

– Kto by pomyślał. Ty to dostajesz prezenty... – mruknęła z zazdrością.

Bree otrzymała go od wuja Colina. Jej wczorajsze urodziny zbiegły się z początkiem wakacji, ale nie należały do udanych, bo matka znowu pokłóciła się ze swoim młodszym bratem. Karen Whelan z

całego serca nie cierpiała magicznych przedmiotów i nie życzyła sobie ich w domu. Raz na zawsze zabroniła córce wypadów do miasta aniołów i alergicznie reagowała na wszelkie wzmianki o magii.

A Bree umierała wprost z ciekawości. Tyle nasłuchiwała się od wujka o cudach Nirgali! Miałyby nie skorzystać z okazji?

W tajemnicy wybrała się z przyjaciółką na jarmark, łamiąc zakaz matki. Patty, która wierzyła w przepowiednie i z wypiekami na twarzy czytywała horoskopy, uparła się, żeby pójść do profesjonalnej wróżki. Przede wszystkim jednak chciały sprawdzić, jak działa kryształ. Kamienny most stanowił pilnie strzeżoną granicę i bez przepustek nie można było marzyć o mieście aniołów. No, ale jeśli ma się do dyspozycji kryształ niewidzialności, to zupełnie co innego.

Bree ukryła klejnot w dłoni.

– Chwyć mnie za rękę – powiedziała do podekscytowanej Pat. W myśli wypowiedziała życzenie.

Powietrze się rozrzedziło i zafalowało. Przez ciało dziewczyny przebiegł zimny dreszcz. Opuszki palców zdrętwiały od kłującego chłodu, zaskakującego w upalne czerwcowe południe.

Stały się niewidzialne.

Przed wejściem na most żołnierze w granatowych mundurach żandarmerii skrupulatnie sprawdzali przechodniów, ale przyjaciółki minęły ich niepostrzeżenie. Najbardziej obawiały się anioła, który towarzyszył strażnikom, bo nie miały pewności, czy dla niego też są niewidoczne. Zobaczyły jego smukłą sylwetkę i ciemne włosy, skrzydła migoczące w oślepiającym słońcu i czarną jak sadza tunikę. Uważnie badał wzrokiem idących.

Bree zdecydowanie pociągnęła Pat za sobą i razem wkroczyły na kamienny most.

– Udało się! – Dziewczyna westchnęła z satysfakcją.

– Widziałas? – emocjonowała się Patty. – Piękny ten angaros!

Mijały marmurowe posągi groźnych aniołów, którzy z wysokiej balustrady mierzyli w dal. Mgła ograniczała widoczność. Spowijała stopy przechodniów i śliskie kocie łby.

Kiedy pierwsze sylwety budynków wyłoniły się zza nieprzejrzystej bieli, poruszona Bree wstrzymała oddech. Silniej przytrzymała rękę przyjaciółki.

– Spójrz!

Wzdłuż ulicy wznosiły się stare, ale zadbane i odnowione kamienice. Na balkonach i przestronnych tarasach kwitły pelargonie i chryzantemy. Okazałe fasady domów były zdobione płaskorzeźbami. Żelazne latarnie pięły się jak bluszcz ku lazurowemu niebu. Wygodny trakt prowadził nad wodą, a potem skręcał na północ i ginął w cieniu. Powiało rześkim chłodem.

– Schowaj już kryształ – rozsądnie zauważyła Pat.

Kiedy puściły swoje ręce, Bree wcisnęła kamień do kieszeni niebieskich dżinsów i obie zmaterializowały się na chodniku.

Wokół gęstniał tłum, postacie w oszalałymi barwnych strojach krążyły wśród ulicznych artystów i kupców. Bree zachwyił ten widok, ale zaraz pomyślała, że dwie niemagiczne dziewczyny w spranych spodniach i zwykłych T-shirtach niepotrzebnie rzucają się w oczy.

Tuż za zakrętem przystanęły przy grupie cyrkowców. W górze, na linie rozpiętej między balkonami kamienic, przechadzała się baletnica z chińską parasolką w dłoni. Z wdziękiem unosiła stopy, wykonując kolejne taneczne pasy. Kłaniała się widowni i rozsypywała opalizujące konfetti, a wtedy Bree ze śmiechem wytrzepywała z włosów drobne płatki.

Po sznurowej drabince wdrapywali się żonglerzy. Wyrzucali wysoko w górę płonące pochodnie. Ogniste łuki wirowały jak w kalejdoskopie.

Dwie przecznice dalej akrobaci na drewnianych szczudłach z przezroczystymi skrzydłami u ramion niemal unosili się w powietrzu, gubiąc na wietrze czerwone i żółte meloniki. Smutne twarze pierrotów mieszały się z błazeńskimi wizerunkami klaunów. Bose Cyganki w karminowych spódnicach kręciły się wśród publiki, a złociste bransolety na ich nadgarstkach rozdzwaniały się przy każdym ruchu.

Dalej, w cieniu bramy, w takt fletów i akordeonu, tańczyła jasnowłosa dziewczyna w półprzezroczystej seledynowej sukience. Ostre rysy szczupłej twarzy złagodniały pod wpływem muzyki, a blada jak opłatek skóra delikatnie się zaróżowiła. Oczy tancerki fosforyzowały intensywną zielenią.

– To lesza – wyjaśniła przyjaciółce świetnie poinformowana Bree. – One podobno mieszkają na cmentarzach, w starych, zapomnianych grobach.

– Pewnie dlatego jest taka anemiczna. – Pat nie miała zamiaru zawierać znajomości z istotą, której za łóżko służyła rozsypująca się ze starości trumna. – Poszukajmy lepiej wróżek. – Pchnęła Bree w przeciwnym kierunku.

Weszły na plac Suriela. Pośrodku górował marmurowy posąg archanioła ze srebrnym łukiem w dłoniach i z potężnym mieczem przewieszonym przez plecy. Jak mówiły legendy, strzegł bezpieczeństwa miasta – dlatego nazywano go Strażnikiem. Bree czuła się nieswojo pod przenikliwym spojrzeniem martwych anielskich oczu.

Patty tymczasem przyglądała się straganom. Stały pod ścianami wielobarwnych kamienic. Jarmarczne stoiska kusily jaskrawą biżuterią, haftowanymi chustami, ręcznie zdobioną ceramiką. Przy niewielkich rozkładanych stolikach pochylały się różnej maści wróżki i wróżbitki. W ich kryształowych kulach odbijało się słoneczne światło.

– Do której idziemy? – zastanawiała się Pat. – Może do tej wróżącej z kart tarota? Albo z fusów? Albo do chiromantki?

Nagle ktoś chwycił je za ręce. Niezgrabny karzeł pociągnął Bree do najbliższej wróżki, ale dziewczyna, zaskoczona i zła, wyrwała mu się gwałtownie. Zdumiała się na widok Pat, która bez sprzeciwu dała się zaprowadzić do tarocistki. Przyjaciółka z przepaszającym uśmiechem odwróciła się na sekundę do Bree, po czym usiadła naprzeciwko korpulentnej kobiety w malinowym turbanie.

Kiedy dziewczyna została sama, z ciekawością rozejrzała się po placu. Zafascynowana, zapatrzyła się na połykaczy ognia. Płomienie strzelały w górę, gasły i rozpały się na nowo. Buchały ze zdwojoną siłą, to znów zaledwie się tliły. Snop iskier rozsypał się jak porwane przez wiatr opiłki złota.

Wśród publiczności dostrzegła kobietę. Rude włosy na szczupłych plecach. Czarna suknia sięgająca stóp. Koronka kaskadą spływająca do samej ziemi. Na ramieniu brunatny ptak. „Drozd?”.

Nieznamoma odwróciła się w stronę Bree. Jej spojrzenie miało magnetyczną siłę. Czarowała. Przewiercała dziewczynę wzrokiem. Potem powoli zaczęła wycofywać się z zatłoczonego placu. Bree próbowała się bronić, nie chciała za nią iść, ale wbrew sobie oddalała się od tłumu. Zdażyła jeszcze dostrzec, co robi Pat. Przyjaciółka przejęta wróżbami zapomniała o bożym świecie.

Kobieta nie spuszczała z oczu zahipnotyzowanej Bree, uparcie przyzywała ją do siebie. W końcu zginęła w cienistej uliczce.

Bree zadygotała. Przenikliwe zimno przeszło ją do szpiku kości. Z plecaka wyciągnęła rozpinany sweter i opatuliła się nim szybko. Ścisnęła fioletowy kryształ i znowu stała się niewidzialna. Tak było znacznie bezpieczniej. Zapatrzyła się w półmrok. Gdzieś w dali mignęły płomienne włosy... Ale zaułek

niespodziewanie opustoszała, a bezbarwne ściany otaczających ją kamienic i żelazni aniołowie na balustradach wąskich balkonów odebrały dziewczynie pewność siebie. „Jak się tu znalazłam?” – pomyślała przestraszona.

Niedaleko bawili się ludzie, a Pat została na placu i pewnie już jej szuka. Bree zawróciła.

Z naprzeciwka, bezszelestnie jak kot, nadchodził nieznajomy chłopak. Czarne proste włosy zakrywały twarz, głowę miał spuszczoną. Obojętnie minął dziewczynę. Kiedy się oddalał, zaintrygowana zerknęła na niego ukradkiem. Zwykły człowiek? Nie jest aniołem, nie ma przecież skrzydeł. Ale na bruku leżało czarne jak węgiel, lśniące pióro.

– Angaros – powiedziała cichutko. – A jednak anioł.

Widocznie ją usłyszał, bo stanął jak wryty, a potem się obejrzał.

– Widzisz mnie? – spytał nieprzyjaźnie.

I wtedy z najbliższej bramy wyśliznął się cień. Twarz chował pod kapturem, mnisi habit okrywał wysoką ascetyczną postać. Błyskawicznie dopadł angarosa. Przyłożył mu nóż do szyi.

Ręce chłopaka bezradnie opadły. Z rękawa ciemnego płaszcza z metalicznym brzękiem wypadł srebrny sztylet – wprost pod nogi oniemiałej Bree.

W oczach anioła wyczytała błaganie. „Może nie powinnam się w to mieszać? To nie twoja sprawa, Bree Whelan” – skarciła się w duchu. Z całej siły ścisnęła kryształ niewidzialności, chociaż właśnie okazał się zupełnie nieskuteczny. Czuła narastający lęk. Bezwiednie schyliła się po sztylet. Tylko krok i mogłaby dotknąć ostrzem pleców napastnika. „Boże, chyba zwariowałam” – przelękała się, ale było za późno na wątpliwości. Cień poczuł ukłucie i zastygł w bezruchu.

Czarny anioł wskazał na dziewczynę.

– Odejdź – wycedził do mnicha chrapliwym głosem. – Następnym razem nie będę taki łaskawy. Nie daruję ci życia.

– Zbliża się kres rodu Argyllów – Bree zmroził wężowy syk. – I twój także. Zostało ci niewiele czasu. Korzystaj, póki możesz.

Cień rozwiewał się jak dym, a ciemnoczerwony habit pokryły ptasie pióra. Mnich odleciał pod postacią kruka.

Nogi odmówiły Bree posłuszeństwa. Srebrny sztylet parzył w skostniałe palce. Drgnęła, gdy poblady ze zdenerwowania anioł pokazał swój nóż.

– Oddaj mi go.

Zawahała się i obronnym gestem schowała broń za plecami. „Może bezpieczniej mieć to jeszcze w ręku? – rozważała w popłochu. – Bo nie wiem, czy za chwilę nie pożałuję, że wpakowałam się w tę awanturę”.

– A więc mnie widzisz – stwierdził nieznajomy, przyglądając się dziewczynie.

Zbił ją z tropu. „Dlaczego miałabym go nie widzieć?” – pomyślała, przymykając powieki.

Anioł podszedł do niej i sięgnął do jej dłoni. Rozwarł kurczowo zaciśnięte palce, a wtedy na bruk potoczył się kryształ, migocząc zdradliwie wśród porowatych zakurzonych kamieni. Chłopak schylił się po niego.

– No tak. Masz farin. Ale nie jesteś z Nirgali?

– Nie. – Bree struchlała z przerażenia. Była pewna, że zaraz wszystko się wyda. Angaros zorientuje się, że nielegalnie przekroczyła granicę, odda ją strażnikom, a potem... Nie potrafiła przewidzieć, co będzie potem, ale na pewno coś strasznego.

– Przyszłaś z Gadery – orzekł. – Jak zmyliłaś strażę? Wykorzystałaś moc farina?

– Jeśli masz na myśli kryształ niewidzialności, to... skorzystałam z niego – wyznała w końcu. – Dostałam go w prezencie.

– W prezencie? – powtórzył z niedowierzaniem. – Pewnie od kogoś, kto go ukradł. Farin jest bardzo cenny i służy głównie aniołom. Dziwne, że cię słucha. Wypowiedziałaś formułę?

– Formułę? Nie znam żadnej formuły. Pomyślałam życzenie – bąknęła pod nosem. Wciąż czekała na nieprzyjemny finał tej sceny, na moment, gdy angaros przekaże ją gwardii.

– Ciekawe. – Zwrócił jej fioletowy kryształ, a ona niezdarnie wcisnęła go do kieszeni spodni. – No cóż, tak czy inaczej, masz sporo sprytu i jeszcze więcej szczęścia. Nie martw się – oświadczył z taką miną, jakby czytał w jej myślach. – Nie wydam cię strażnikom. Uratowałaś mi życie. Choć gdyby nie ty, w porę dostrzegłbym zagrożenie.

Wzruszyła ramionami, bo nie wiedziała, czy właśnie jej podziękował za pomoc, czy raczej ma do niej pretensje. Chciała nawet złośliwie napomknąć, że jest przyzwyczajona do nagłego pojawiania się i znikania magicznych istot oraz aniołów gubiących czarne pióra, ale się rozmyśliła.

– Tu nie jest bezpiecznie. Lepiej żebyś już poszła – rzucił ostrzegawczo i na odchodnym zapytał: – Jak masz na imię?

„No jasne – oburzyła się w duchu. – Tego tylko brakuje, żebym mu się przedstawiła”.

– Bree. Bree Whelan – bąknęła i spuściła oczy.

Angaros gwałtownie zaczerpnął powietrza.

– Niemożliwe – mruknął tak niewyraźnie, że bardziej domyśliła się znaczenia jego słów, niż je usłyszała. Gdy odzyskał równowagę, ponownie wyciągnął do niej dłoń. – Nie bój się mnie. Nic ci nie zrobię. I daj mi wreszcie ten sztylet.

Posłusznie wręczyła mu broń. W ostatnim momencie na szerokim ostrzu dostrzegła osobliwe litery. Układały się w krótki, nieczytelny napis.

– To moje imię. Jestem Mikail Argyll. Idź już – naciskał.

Urażona chłodnym tonem jego głosu, bez słowa pożegnania obróciła się na pięcie i pobiegła w stronę placu.

\* \* \*

– Bree Whelan, przyprawisz mnie kiedyś o zawał serca! Gdzie byłaś? Dzwoniłam do ciebie ze sto razy, ale okazuje się, że w Nirgali nie ma zasięgu! – Pat oskarżycielskim gestem wyjęła z torby komórkę i pokazała ją przyjaciółce.

– Zapomniałam cię ostrzec, że telefony komórkowe w ogóle tu nie działają. – Bree wiedziała o tym doskonale, bo kiedy wujek Colin odwiedzał miasto aniołów, nie mogła się z nim skontaktować.

– No jasne, taki drobiazg bez znaczenia, o którym nie warto wspominać! – Ironiczny ton Pat Hertona był zupełnie usprawiedliwiony. – Gdzie się podziewałaś?

– Weszłam w tę boczną uliczkę. – Pokazała palcem. – Nic specjalnego... Chyba powinniśmy już wracać.

– żartujesz? Niczego jeszcze nie widziałam! – Pat nie miała zamiaru opuszczać Nirgali tak szybko. – A ty nie poszłaś do wróżki! Ta moja całkiem dobrze się spisała, ale nie pozwoliła nikomu zdradzić, co mi przepowiedziała, więc obejdiesz się smakiem.

Bree rozejrzała się po placu. Było dość wcześnie. Ot, zwykle sobotnie popołudnie. W dodatku ten przyjemny chłód bardziej ją pociągał od upału panującego w Gaderze. Ale nie czuła się tu już bezpiecznie. Straciła ochotę na wróżby.

– Wracamy – zdecydowała.

– Jak chcesz. – Pat nie kryła rozczarowania.

Powoli szły w kierunku mostu na Rondane. Bree zdjęła sweter i włożyła go do plecaka, bo zrobiło jej się cieplej.

Dziewczyny niemal zagubiły się w tłumie rozbawionych widzów. Znowu mijały połykaczy ognia i linoskokczków. Pat, trochę naburmuszona i obrażona, powstrzymywała się od komentowania akrobatycznych wyczynów, ale po dłuższej chwili wrócił jej dobry humor. Ostatecznie i tak nieźle się bawiła.

Zbliżały się do rzeki. Gwar i muzyka stopniowo milkły, aż wygasły jak dopalająca się świeca. Bree widziała już marmurowe posągi aniołów, filary zanurzone w wodzie i perłową mgłę. Wtem przyjemną ciszę przeciął niepokojący dźwięk – jakby tysiąc bębnow wybijało ten sam ogłuszający rytm. Pat zatrzymała się raptownie i złapała Bree za łokieć.

– A to co takiego?

Z mgły skrywającej sporą część mostu wyłonił się osobliwy pochód. Ustawione piątkami, w równych odstępach, sunęły niespiesznie ulicą – jakby płynęły w powietrzu – zakapturzone postacie. A każdy z idących był wierną kopią cienia, który w uliczce napadł na młodego angarosa.

Bree bez słowa wyjaśnienia pociągnęła przyjaciółkę z powrotem w stronę placu Suriela i tylko od czasu do czasu oglądała się przez ramię. Mnisi w obszernych płaszczach, w ciemnoczerwonych habitach spiętych szerokimi skórzanymi pasami, nieśli proporce. żałobne chorągwie łopotały niczym czarne krucze skrzydła, a wyszyte złotymi nićmi kwiaty chryzantem błyszcząco jak rękojeści zakonnych noży.

Dźwięk bębnow wciąż narastał, choć nie wiadomo było, kto wybiiał rytm. Przechodnie, cyrkowcy i sprzedawcy w popłochu kryli się w bramach. Do Bree dotarła przestroga przekazywana z ust do ust:

– Hauruki...

Znienacka zachwiało nią silne szarpnięcie. Ktoś pociągnął obie dziewczyny w najbliższe podwórze. Biegając, prawie traciły równowagę na nierównym bruku.

– życie wam niemiłe? żeby tak bezmyślnie się na nich gapić?

To była lesza. Ta sama blondynka, która wcześniej tańczyła na ulicy. Zamiast sukienki miała na sobie biały podkoszulek na cienkich ramiączkach i spłowiałe szare džinsy. Długie, proste włosy zaczesła za szpiczaste elfie uszy.

Przywarły do ściany. Lesza przyłożyła palec do ust, nakazując bezwzględne milczenie, bo właśnie obok bramy przechodził ten szerzący panikę pochód. Bree miała duszę na ramieniu. Mnisi śledzili wzrokiem każdy zakamarek, tropili, jakby szukali... ofiary. Wreszcie ostatnia piątka minęła ich kryjówkę, ale lesza dopiero po kilku minutach ostrożnie wyjrzała na ulicę.

– Poszli. Droga wolna.

Patty i Bree z nadmiaru wrażeń nie mogły dojść do siebie.

– Co, nie jesteście stąd? Ktoś was przeszmutłował z Gadery? – Lesza była gadatliwa i bezpośrednia w obejściu. – Powinien was ostrzec przed Hauruki. Tula Peel – przedstawiła się energicznie i dumnie uniosła podbródek. – Jestem leszą, jakbyście nie wiedzieli.

– Pat Herton i Bree Whelan – powiedziała Bree, przyglądając się nieufnie nowej znajomej. – Nie mamy pojęcia, kim oni są. Porządnie nas wystraszyłaś.

– I dobrze. Hauruki to zakon. Ostatnio mnisi panoszą się w mieście, jakby należało do nich. Węszą po ulicach jak bezpańskie kundle... – dodała z kpina.

Bree nerwowo zachichotała. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie Nirgalę i w duchu postanowiła, że jej noga nigdy więcej tu nie postanie.

– Właściwie wracamy do Gadery – wyjaśniła Patty. – Chyba że pokażesz nam, gdzie można coś zjeść. – Bree szturchnęła ją w żebro, ale nie udało jej się powstrzymać wylewności przyjaciółki. – Jestem niemiłosiernie głodna – ciągnęła Pat. – To pewnie z powodu tych wszystkich... atrakcji.

Bree westchnęła. Miały wprawdzie kanapki, ale zrobiły je wczesnym rankiem, więc do tej pory pewno nie zachowały świeżości.

– Prawda, też bym coś zjadła – zgodziła się z ociąganiem.

Tula zaśmiała się głośno i śmiesznie zastrzygła uszami.

– No nie, cudem uniknęłyście śmierci i jaka jest wasza pierwsza myśl? żeby coś zjeść! Nigdy nie zrozumieć ludzi. – Potrząsnęła jasnymi włosami, aż zaszeleściły jak suche liście. – Dobra, wpadniemy do Piwnicy. To niedaleko. Macie jakieś pieniądze?

– Funty? – zapytała nieśmiało Pat.

– A po co ci tu funty? – Lesza znów się rozchichotała. – Są bez wartości. Myślałam o drinach.

Jasne, Bree widziała je przecież u Colina. Ciężkie monety ze szczerego złota z wizerunkiem angarosa na rewersie.

– Nie, nie mamy. Nie planowałyśmy zakupów. – Patty jak zwykle była szczera. – Czyli z jedzenia nici – skwitowała rozczarowana.

– W porządku. Jakoś to załatwimy. Trochę tam pracowałam, więc nie będą chcieli ode mnie zapłaty. Chodźcie. – Poprowadziła je za sobą.

Przyjaciółki wymieniły zaniepokojone spojrzenia. Może popełniły błąd? Ostatecznie podobno lesze śpią w próchniejących trumnach na starych cmentarzach... „A co jedzą?” – zachodziła w głowę Bree.

W połowie drogi do placu Suriela Tula przystanęła przed elegancką kamienicą.

– To tu. Pilnujcie się mnie i nie reagujcie na zaczepki. Jeśli nie chcecie kłopotów.

Front pokrywała płaskorzeźba przedstawiająca łodygi chryzantem splatające się w misterny wzór. Główne wejście, masywne, z żelaznymi okuciami stanowiło barierę nie do pokonania. Poniżej poziomu ulicy wąskie i strome schodki wiodły do dużo skromniejszych drzwi. Zawieszona na nich tabliczka z optymistycznie brzmiącym hasłem „Jedźmy i pijmy, wszak jutro pomrzemy” wywołała uśmiech na twarzy leszy. Mrugnęła porozumiewawczo i wskazując na napis, powiedziała do dziewczyn:

– To jakby o was?